

Sebastian Markiewicz

BYŁO

**nostalgicznie
o czasach
przetomu**



Sebastian Markiewicz

BYŁO

NOSTALGICZNIE

O CZASACH

PRZEŁOMU

Ludziom i miejscom, których już nie ma

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-67-6

Copyright © Sebastian Markiewicz

Projekt okładki: Karolina Lubaszko

Foto na okładce: Grażyna Rutkowska (NAC)

Książka ta zajęła pierwsze miejsce w X edycji Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego „Tutaj jestem” (Białystok 2020). Jej pierwsze wydanie miało tytuł „Było. Dwanaście miniatur nostalgiczych”. Niniejsze, drugie, elektroniczne wydanie tym różni się od pierwszego, że zawiera dwa, niepublikowane wcześniej opowiadania „Kanikuła” i „Bracia mniejsi”.

Spis treści

[Dzieciństwo. Szkic](#)

[Przydział](#)

[Autobus do nieba](#)

[Obym cudzych dzieci nie uczył](#)

[A imię jego](#)

[Z gier i zabaw](#)

[Gramy na wyjeździe](#)

[Podzwonne dla Ikarusa](#)

[Dicere quae puduit scribere iussit amor](#)

[Ciotka Mariolka](#)

[Dziś prawdziwych przyjaźni już nie ma](#)

[Kanikuła](#)

[Bracia mniejsi](#)

[Wolę Wolę](#)

Dzieciństwo. Szkic

Gdy byliśmy w podstawówce, nasze matki były już stare. Miały zazwyczaj luki w uzębieniu, trwały ondulację, ubierały się w szare ciuchy z epoki i niemal wszystkie paliły papierosy. Przeważnie miały około trzydziestu lat, ale wyglądały jak lata osiemdziesiąte. Jednak szare i brzydkie, jak ekrany dźwiękochłonne wzdłuż dróg, których wtedy jeszcze nie było. Ani dróg, ani tych nieszczęsnych ekranów. Wbite w szare ciuchy, wydawały się bezkształtne i nijak nie kojarzyły się z kobiecością.

Ich głównym zajęciem – oprócz palenia papierosów – było gotowanie obiadu i pytanie, czy odrobiliśmy lekcje. Nie woziły nas na zajęcia dodatkowe, bo nie miały czym ani dokąd. Naprawdę mało który z nas robił coś poza szkołą. Kilku grało w piłkę w klubie, co przekładało się na słabsze wyniki w nauce – taka korelacja – i utyskiwanie matek, bo „prac te ciuchy bez przerwy trzeba”.

No, na religię nas ganiały do sal katechetycznych. Ale nie wszystkie i głównie przed pierwszą komunią.

Wymieniały się słuchami, gdzie co rzucili. I ile znowu trzeba w szkole za komitet zapłacić. I jaka w ogóle drożyzna. A my nie mogliśmy zrozumieć tej sprzeczności – jeśli nie ma nic, to jaka może być drożyzna?

Matki zawsze szły „kupić coś na obiad”. Zastanawiało nas, dlaczego codziennie muszą „kupić coś na obiad”, tak jakby nie można było kupić produktów na kilka dni. Tak jak z papierosami – każdego dnia szły do kiosku po swoje radomskie czy extramocne (mało która paliła choćby carmeny; zagranicznych nie palił nikt, pudełka po zagranicznych się zbierało i dumnie prezentowało jako kolekcję), jakby nie można było kupić fajek na zapas. Przecież były w porównaniu z dzisiejszymi tanie jak przysłowiowy barszcz.

Matka Rosy wyglądała wyjątkowo staro. Jej nadejście zwiastował stukot wiele razy zelowanych butów. Szła zgarbiona, dźwigając siaty z zakupami, w szarym płaszczu, który mógł mieć tyle lat co ona, ze wzrokiem wbitym w krzywy osiedlowy chodnik. Zmartwień dodawał jej fakt, że dość szybko owdowiała – jej mąż wpadł pod tramwaj, a do wychowania miała dwóch synów, bo Rosów było dwóch. Trzeba przyznać, że poradziła sobie z ich wychowaniem nader dobrze. Nie wiem, czy dzięki swojej stanowczości i matczynej opiece, czy dzięki temu, że Rosy to były spokojne chłopaki. A przecież u nas na osiedlu spokojny chłopak to była rzadkość.

Tylko matka rudego Kiryły wyróżniała się z tego grona. Wyprzedzała epokę. Teraz matki tak wyglądają. Miała kolorowe ciuchy, była szczupła i wysoka, miała białe zęby i coś pstrokatego wetkniętego w długie blond włosy. W ogóle nie wyglądała jak matka. Bardziej jak dziewczyna z filmu, ale nie polskiego. Jak postać, która wskoczyła do szarej rzeczywistości końcówki Polski Ludowej z zupełnie innej bajki. Kiedyś zasiedzieliśmy się u Kiryły, a jego matka poczęstowała nas obiadem. Spaghetti z tuńczykiem i kaparami. Nikt z nas nie wiedział, co to jest tuńczyk ani co to są kapary. Nazwę „spaghetti” kojarzyliśmy z filmów. Bardzo nam smakowało, już nigdy potem tuńczyk nie był tak pyszny, jak wtedy. Kapary też. Po obiedzie matka Kiryły zamknęła się w swoim pokoju, puszczała z adapteru dziwną muzykę, której nie znaliśmy, i tańczyła. Sama. Podglądaliśmy ją przez dziurkę od klucza. Jakiś czas potem uświadomiłem sobie, że słuchała Led Zeppelin.

Rudy Kiryła mieszkał bez ojca. Ojcowie to inna historia. Większość z nich przypominała mojego. Też wyglądali na dziesięć lat więcej, niż mieli. Byli robotnikami, którzy dostali mieszkanie z przydziału; pracowali przeważnie w jednym z pobliskich zakładów, do domu wracali w roboczych ciuchach przesiąkniętych wonią potu, smarów, benzyny i wszystkiego tego, czego używało się na zakładzie. Z kieszeni wystawała im żółta metrówka, doskonałe narzędzie do otwierania piwa. Śmierdzieli papierosami i wódką. Po domach chodzili w siatkowych podkoszulkach. Mieli umięśnione ręce, a muskuły te powstały na skutek ciężkiej pracy. Jakże różniły się od rąk dzisiejszych ojców, które są jednakowej grubości od nadgarstka do barku. Nie upiększali ich pseudotatużami, które wyglądają jak kartka wyrwana z notatnika pacjenta szpitala psychiatrycznego. W większości byli robotnikami w pierwszym pokoleniu, co najbardziej uwidaczniało się w okolicach Wszystkich Świętych, gdy przez dwa, trzy dni nie miałem się z kim bawić, bo koledzy wyjeżdżali na groby.

Kilku ojców było prywaciarzami. Oprócz wąsów nosili też długie włosy z tyłu, ubierali się w skórzane lub dżinsowe kurtki i torebki nerki, zwane pederastkami. Zazwyczaj jeździli samochodami innymi niż wytwór polskich fabryk motoryzacji. Ich żony miały jakby trochę inne ondulacje i więcej zębów. Oni niekoniecznie. Po ich dzieciach widać było, że mają w domu więcej rzeczy; nie zbierały pudełek po papierosach ani puszek po napojach, bo one piły napoje z puszek. Ci ojcowie przeważnie udzielali się też społecznie – gdy nawalił klubowy Robur, wozili drużynę swoimi furgonetkami.

Tylko ojciec Dziecioła był jedyny w swoim rodzaju. Dziecioł mieszkał z matką, ojcem i bratem w czteropokojowym mieszkaniu, co wydawało nam się niewiarygodne. Bo zazwyczaj taki metraż dostawały rodziny z co najmniej czwórką dzieci. Ale on był jakimś wysokim urzędnikiem. Miał w tym mieszkaniu swój gabinet. Jak to wówczas brzmiało – „gabinet”... A przecież większość z nas cisnęła się w dwóch pokojach z rodzicami, rodzeństwem, a nierzadko jeszcze z babcią.

Większość babć wyglądała podobnie. Niemal wszystkie paliły – podobnie jak matki i ojcowie. Niektóre z nich – jak na przykład moja – używały do tego lufek. Szklanych albo drewnianych. Babcie były chude, pomarszczone i zwiędnięte, a przecież z reguły nie miały więcej niż sześćdziesiąt lat. To wojenne przejścia tak je powykręcały i pomarszczyły. Nie były roszczeniowe wobec świata, aby mieć co do garnka włożyć i co na siebie. Do garnka wystarczała garść kaszy i schabowy przy niedzieli. Na siebie – ten sam paltocik z samodziału, noszony od nie wiadomo kiedy. I nieodłączna torba „anużka”, bo a nuż coś rzucać. Ci, którzy mieszkali z babcią, mieli wiele niedogodności, ale jedną niewątpliwą wygodę – zawsze mogli wpaść do domu i coś na szybko przekazać. Chociaż nie wszystkie babcie były tak przydatne. Babka Arka i Rafała, przesiedlona ze wsi, trochę wbrew swojej woli, bo to nie było tak, że ona uciekła do miasta – to miasto wprowadziło się blokowiskiem do niej na wieś, w zamian dając przydział na trzy pokoje z kuchnią, synem, synową i wnukami – postradała zmysły i często wychodziła z bloku, szukając swoich zagonów i wspomnień nad niewielką rzeczka i resztek dawnego pola, które obrabiała. I resztek sadu, pańskiego zresztą. Ale na próżno. Jak to ktoś powiedział – nie ma sensu odwiedzać dawnych miejsc. Ich już przecież nie ma. Z biegiem czasu babka Arka i Rafała, zwana przez gawieź „Babichą”, straciła władzę także w nogach, tak więc chodziła z balkonikiem tylko po klatce schodowej, tam i z powrotem, tam i z powrotem. Później nie panowała już także nad zwieraczami, więc Arek z Rafałem bardzo się musieli wstydzić, a szyderstwa ze strony kolegów prostować pięściami. Ja miałem to szczęście, że moje babcie były z miasta już dwa pokolenia wcześniej i mieszkaly w swoich mieszkaniach. I nie trzeba im było tłumaczyć, że wanna nie służy do przechowywania ziemniaków.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI